Nr. 21 Należyt. poczt. opł. ryczałt. We Lwowie, 1 listopada 1930 Rok 52

ŁOWIEC

WYCHODZI 1 i 16 KAŻDEGO MIESIĄCA

Do członków! Kwartalna wkładka dla członków wynosi 9·— złp.

Prenumerata kwartalna wynosi 4 zł. — Cena pojedynczego numeru 1 zł. Ceny ogłoszeń: cała strona 200 zł., 1/2 str. 100 zł 1/4 str. 50 zł., 1/8 str. 25 zł., 1/16 str. 12·50 zł. — Ogłoszenia na pierwszej stronie o 50% drożej. Drobne ogłoszenia 30 gr. słowo.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Ossolińskich 11, III p, (Małopolskie Towarzystwo Łowieckie) — godz. biurowe od 10 do 13 i od 17 do 19. — Redaktor przyjmuje strony w biurze Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego we wtorki i piątki o godz. 12-tej Adres telegramów: „Łowiec", Ossolińskich 11. — P. K. O. Konto Nr. 145.839. — Telefon Nr. 18 - 59.

Czasy ochrony zwierzyny (Art. 48 i 49) **dla Małopolski.** Ciemne pola oznaczają czas ochrony.

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Jelenie - byki, daniele - rogacze	■	■	■	■	■	■	■	■			■	■
Sarny - kozły		■	■	▌20								
Zające - szaraki		■	■	■	■	■	■	■	■			
Borsuki	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Wiewiórki *)			■	■	■	■	■	■	■	■		
Głuszce - koguty	■	■	▌15		15▌	■	■	■	■	■	■	■
Cietrzewie - koguty						■	■	▌15				
Jarząbki		■	■	■	■	■	■	▌15				
Bażanty - koguty		■	■	■	■	■	■	■				
Kuropatwy	■	■	■	■	■	■	■	■				■
Przepiórki	■	■	■	■	■	■	■	■				
Słonki					15▌	■	■	▌15				
Bataljony						■	▌10					
Dzikie kaczory						■	▌10					
Dzikie kaczki (samice i młode) oraz inne ptactwo wodne i błotne			■	■	■	■	▌10					

Rodzaj zwierzyny	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień
Dzikie łabędzie i dzikie gęsi					15▌	■	■					
Dropie *), dropie kamionki (strepety), dzikie gołębie, drozdy, kwiczoły, paszkoty		■	■	■	■	■	■	▌15				
Ptaki krukowate i drapieżne z wyjątkiem jastrzębi gołębiarzy, krogulców, wron i srok		■	■	■	■	■	■	▌15				
Żubry, bobry, kozice, świstaki, samice i cielęta: łosia, jelenia, daniela, sarny-kozy i koźlęta, niedźwiedzice od niedźwiątek, głuszce-kury, bażanty-kury, czarne bociany oraz w województwach: pomorskiem, poznańskiem, warszawskiem, łódzkiem, kieleckiem, lubelskiem, krakowskiem, lwowskiem, tarnopolskiem i stanisławowskiem cietrzewie - kury	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■	■

*) Na mocy dodatkowego rozporządzenia Min. rol. ochrona przez cały rok do odwołania.

Kalendarz ten nie obejmuje czasowych rozporządzeń Województw małopolskich, tyczących przedłużeń czasu ochrony pewnych gatunków zwierzyny łownej.

Nr. 21 We Lwowie, 1 listopada 1930 Rok 52



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

W dniu 3. listopada 1930 r. (poniedziałek) o godz. 9 rano będzie odprawiona

ŻAŁOBNA MSZA ŚW.

w kościele św. Elżbiety, przed ołtarzem św. Huberta za dusze zmarłych członków M. T. Ł.

ODEZWA

Do korespondentów, czytelników i sympatyków naszych zwracamy się z gorącą prośbą o czynną współpracę z nami.

Prosimy Ich, by chcieli się dzielić z naszą Bracią Myśliwską za pośrednictwem „Łowca“ swojemi wrażeniami łowieckiemi i wspomnieniami z łowów, by przysyłali nam też artykuły, czy to z dziedziny przeżyć łowieckich, czy też fachowe, z dziedziny przyrody, broni, historji łowieckiej i t. p.

Wobec ogólnie ciężkiej sytuacji gospodarczej, która się i na kasie M. T. Ł. odbija, prosimy wypróbowanych przyjaciół-korespondentów naszych, by zechcieli pisywać dla „Łowca“ n i e k i e d y, za zrzeczeniem się honorarjów autorskich, i by tym sposobem pomóc nam chcieli do przetrwania ciężkich chwil obecnych. Prosimy wreszcie o przysyłanie nam zdjęć natury łowieckiej, i to możliwie w najbliższym czasie, celem umieszczenia ich w ozdobniejszym numerze, który zamierzamy wydać w połowie grudnia b. r.

Redakcja.

WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI (z teki pośmiertnej)

Wspomnienia z polowań na orły i sępy w latach 1885-1917

(Dokończenie)

W jeden z dni grudniowych, zimnych i mglistych, polowałem z mym długoletnim sąsiadem p. Kwaśnickim z Tatjanówki, na zające, w leśnych ostępach Czernowskich. W jednym z miotów najniespodziewaniej nadleciał na seniora orzeł i został zabity. Staruszek tak się uradował ze swej zdobyczy jedynej w jego 84-leciu, że zaproponował mi zrezygnowanie z dalszego polowania i udanie się do niego na objadek. A że pogoda coraz więcej psuć się zaczęła, a obiady u pp. K. były zawsze doskonałe i piwnica choć mała ale zasobna, chętnie przyjąłem zaproszenie. Ułożyliśmy w tyle sanek owego orła, zawinęliśmy się szczelnie w futra i hajda do Tatjanówki. Na spotkanie wylegli domownicy a p. K. chcąc pochlubić się przed rodziną swem trofeum, sięgnął po nie, lecz o mało staruszek nie zamarł. W saniach orła nie było. Widocznie ogłuszony ptak drobnym zajęczakiem, przyszedł do przytomności i w drodze dał nura. Ofiarowanym mu potem wypchanym orłem nie zdołałem pocieszyć staruszka.

W maju 1905 r., przywiózł mi jeden z polowych dozorców, sprytny Zawacki, zdrowego, żywego starego gryfa płowego, złapanego w następujących warun-

kach: Zawacki jako dawny, sławny kłusownik znał życie i zwyczaje ptaków stepowych. — Zauważywszy żerujących kilka sztuk sępów i gryfów na padłej koninie, leżącej pod ścianę plantacji kukurydzy, czekał aż ptaki najadłszy się, staną się ciężkimi do wzlotu, a ociężałe chętnie poddają się drzemce i słodkiemu trawieniu. Wyczekawszy tej chwili, nagłym napadem z zasadzki uderzył zrywającego się ptaka tak silnie harapem, iż owiniętym mu koło szyi końcem rzemienia zdusił go i obezwładnił. Nie obyło się jednak bez okaleczenia dozorcy, który otrzymał od złego ptaka cięcie w udo i przedramię. Wspaniały ten okaz płowego gryfa trzymałem w altanie razem z 3 orłami. Był zły i nie pozwalał nikomu przystąpić do klatki. Na podaną karmę nie rzucał się raptownie, a na dogorywającą owcę lub świnię czekał póki nie zdechnie, choćby kilka godzin. Mimo ciepłego pomieszczenia, zimy nie przetrzymał.

Nierzadko ponosiliśmy w naszej stepowej hodowli trzód, a owiec przedewszystkiem, dotkliwe straty przez orły wyrządzane, szczególniej podczas wykotu jagniąt. W braku dostatecznych budynków dla pomieszczenia naszych inwentarzy, wielka ich część zimowała w odkrytych zagonach, prymitywnie bardzo urządzonych ze słomy, bez nakrycia żadnego. Nawet nasze ciemnowełniste negretki nietylko doskonale przezimowały na odkrytym stepie, lecz i obkot, przypadający na kwiecień (do 5 maja) odbywał się najprawidłowiej na pastwiskach, pod gołem niebem.

Kocenie się kilkuset jagniąt dziennie wymagało wielkiego dozoru nad ludźmi i czabanami, strzegącymi stad, rozrzuconych na znacznych przestrzeniach. Spędzając całe dnie wśród stad tych, miałem sposobność przyjrzeć się nie jednej scenie, świadczącej o sprycie i orlej przezorności. Szczególnie jeden birkut mą uwagę zwracał na siebie. Gdy po opadzie rannej rosy, stada wyruszały na pastwiska, mój birkut już siedział na dalekim kurhanie lub samotnym dębie, rekognoskując uważnie ruchy stad. Dość było odbić się jakiej matce z maleńkiem jagnięciem, gdy nad nią zakręcił łuk czujny rabuś, pochwycił noworodka i z nim uleciał, zanim podążył na pomoc jagnięciu czaban lub objazdowy kozak. Nie tak łatwo jednak szła zdobycz napastnikowi, gdy natrafił na jagnię, przywiązane szpagatem do nogi matki, która nie przyznawała się do swego dziecka i odmawiała mu pokarmu. Widziałem raz, jak orzeł pochwycił takie uwięzione przy matce jagnię, a nie mogąc go oderwać z uwięzi, szarpał niem i matką, włócząc je wokoło, dopóki nie nadbiegła pomoc i nie odpędziła rabusia. Z dużem miesięcznem jagnięciem nie tak łatwo mógł się rabuś załatwić, a nie mogąc go unieść, wykłuwał mu oczy i rozbijał czerep. Trzymaliśmy osobnych konnych kozaków, strzegących w czasie obkotów obory owiec, od tych drapieżników.

Źrebaki i cielęta na stepie rodzące się, mniej były narażone na ataki orłów, którym czujne matki zacięty stawiały opór. Zdarzały się jednak niekiedy noworodki z wydziobanemi oczami lub pokaleczonemi głowami. — Zabiłem raz takiego rabusia zacietrzewionego nad źrebiącą się klaczą.

Krym - Kaukaz i Ural.

Z mych wycieczek do tych krain nie mogę poszczycić się wielkiem szczęściem w polowaniu na orły.

Spotykałem te ptaki na Krymskim Aj-Todorze, Aj-Petri, na kaukaskim północnym łańcuchu gór — zabiłem w okolicy Kazbeku birkuta, lecz mając inny cel mej ekskursji, nie poświęcałem drogiego czasu na orle łowy. Na podnóżu Uralu w Ufimskiej gubernji częściej widywałem orły na nizinach nad rzekami Białą, Diomą i Kamą, niż na szczytach gór lub w lasach.

Zakaukazie. — Kraj Tałyszów.

Banat Lenkorański, wciśnięty wielkim trójkątem między łańcuch perskich gór Karadagu, morze Kaspijskie stepy Mughańskie i Bajrut, przedstawiały dla myśliwych ciekawy i pożądany teren, obfitujący tak w najgrubszego zwierza jak: tygrys, pantera, niedźwiedź, jak niemniej w najrozmaitszych przedstawicieli ptactwa. Czytając kiedyś jakiś poetyczny opis tego dalekiego zakątka najwięcej na południe Rosji wysuniętego, zapałałem tak wielką chęcią zwiedzenia tych dzikich stron, iż w 1903 r. poraz pierwszy, a w 1904 powtórnie tam pojechałem. Jak jednak wielki kontrast z tem, co ów poeta-myśliwy opisał, tam stwierdziłem. Przez cały miesiąc mego tam pobytu, ani razu nie widziałem słońca, które w oczach tkliwego poety tak cudownie wynurzało się z toni modrych wód morza i złociło lustrzaną taflę spokojnych wód. — Cały czas wisiała nad morzem i ziemią gęsta zasłona mgieł ciężkich, a szczyty wysokiego Kis-Jardu i kopuła Dombała, wiecznie je zakrywały. Zamiast bujnej roślinności, brylantowych miljardów kropel rosy na wspaniałych paprociach, obmokłe, pożółkłe nagie badyle, zamiast miłosnego szmeru strumyków, szum, huk i syk potoków, huk i stęk spienionych fal morskich, a zamiast świergotu ptaszyn, niekiedy przytłumiony stęk pantery lub oderwany ryk rozkochanego tygrysa, gdzieś daleko w górach w ciszy nocnej można było dosłyszeć. Wszędzie błoto, topiele, bajory i trzęsawiska. Tak wyglądał ten kraj w czasach mego w nim pobytu. Lecz ów rozczulony poeta-myśliwy prawie milczeniem pominął te masy różnorodnych stworzeń, jakie te pustkowia i pustynie zamieszkują. Nie będę tu opisywał tej dziwnej fauny tamtejszej — wspomnę tylko o tej masie orłów i orlanów, jaką tam na każdym kroku spotykałem. — Była ona zdumiewająca. Już nie pojedyńcze egzemplarze, lecz ich całe kolonje obsiadały samotne dęby w pobliżu brzegów morza, które wyrzucając na płaskie brzegi masę ryb i morskich potworów, zapewniało tym drapieżnikom pewny i dostatni pokarm. Przeważnie były to birkuty bieliki (heliaetos albicilla) lecz nie brakło tam dzwońca, orientalisa i innych.

Strasznie szpetne pudło kulowe do dwóch bijących się o zdobycz łamignatów, wobec całej ekspedycji zblamowało mnie bardzo i może nawet odebrało mi chęć i od-

wagę do dalszego polowania na te drapieżce. — Więc też nie mogę poszczycić się jakiemikolwiek trofeami, o które zbytnio nie ubiegałem się, zajęty pogonią za grubym zwierzem.

Rok 1916.

W czasie wszechświatowej wojny, aprowizacja armji frontu południowego w Odessie, oddała mi nadzór nad przegonem i wypasem bydła, przeważnie z Syberji nadchodzącego. Mając pod mym nadzorem kilka tysięcy sztuk wołów, wypasałem je na stepach powiatów odeskiego, tyraspolskiego, wozneseńskiego i anomijowskiego. Dość posuszne lato, nadmiar skupionego bydła na tych przestrzeniach, wywołał choroby i wielki upadek w tysiącznych stadach. Już w połowie lata epidemja przybrała straszne rozmiary: wszędy kupy padliny, ściągające stepowych rabusiów z dalekich stron, tak czworonogów jak i skrzydlatych. Znów wielkie masy sępów zaczęły napływać do naszych stepów.

Polując na dropie i strepety na stepach Berezowskich z pp. Urbanowskim, obecnym urzędnikiem Urzędu Zaopatrywania m. Warszawy i kapitanem floty wojennej w Gdyni p. Wronowskim oraz memi córkami, widzieliśmy poraz pierwszy wielkie stado sępów, liczące sto sześć sztuk, otaczające zwartem kołem dogorywającego wołu i wyczekujące z dziwnym spokojem jego śmierci. Mimo wszelkich prób i zabiegów, stado nie dopuściło nas do strzału, a zerwawszy się, z szumem jak daleka burza, zniknęło nam prędko z oczu. Było to ostatnie me spotkanie z tymi olbrzymimi mieszkańcami dalekich gór południowych.

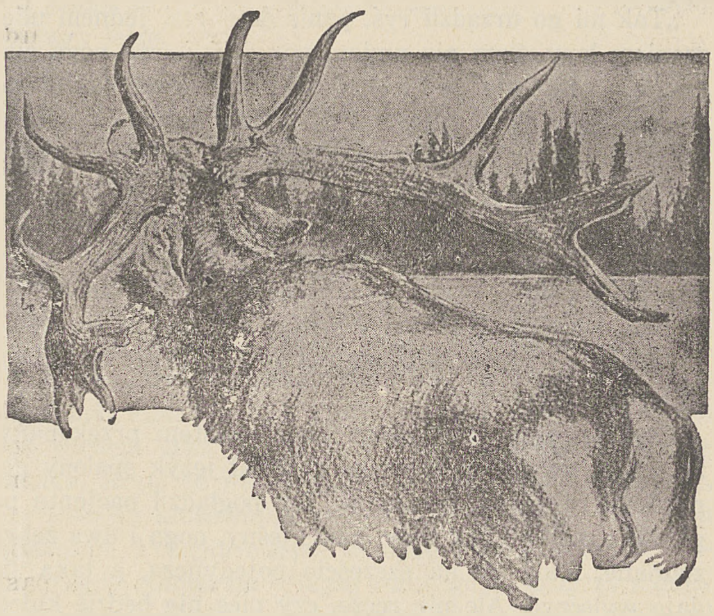
Niezwykły dublet kulowy.

Zabiłem jeszcze w mem życiu dwa nadzwyczajne, najwięcej może krwiożercze i drapieżne orły. Było to w r. 1911, 16 marca o północy. Dzierżawiłem wówczas znaczną wieś Ternówkę pod Smiłą w Kijowszczyźnie, gdzie wskutek forsownego zagospodarowania i prędkiego doprowadzenia gospodarki do należytego stanu, uważano mnie za zamożnego obywatela. Szczególnie między chłopstwem okolicznem mniemanie takie rozpowszechniło się daleko, i stało się niemal dla mnie zgubnem.

W Kijowszczyźnie od roku 1905, grasowała banda Czarnego żuka, która mimo śmiałych napadów na banki w Białej Cerkwi, Korsuniu, na kasę hr. Bobryńskich w Smile, bezkarnie teroryzowała i naszą okolicę. — W noc z 16-go na 17-go marca wyżej wspomnianego roku, banda z 16 opryszków pod wodzą herszta Petrenki, orłem szajki zwanym, otoczyła mój dom, wtargnąwszy do mego mieszkania. Żyjąc od wielu lat wśród częstych napadów na dwory, wielkich pożóg i nierzadkich mordów, każdej chwili byłem przygotowany do odporu napadu i w tej też chwili nie zastali mnie złoczyńcy nieprzygotowanym do stawienia im czoła. Wdarłszy się do przedpokoju, rozpoczęli bezładną strzelaninę, na którą odpowiedziałem szybkim dubletem, kładąc dwóch opryszków trupem. „Orzeł bandy", Aleksander Petrenko, Syberyjski katorżnik, otrzymał kulę w okolicę serca, a Waśka Melniczenko kulę w środek czoła. Trzeciego postrzelił mój wierny strzelec Karpo.

Szajka została wyłapana. 36 jej członków zesłano na Syberję. Tych „orłów" jednak nie zaliczam do mych 53 sztuk w mem życiu zabitych, nie były one ani pożądanemi trofeami, ani sprawiły mi przyjemności najmniejszej.

K O N I E C



JAROSŁAW HUBÁLEK

Wierny przyjaciel

(autor. przekład z czeskiego Wł. Karnkowskiego)

(Dokończenie)

Ostrożnie przemył leśny ranę czystym śniegiem, pokrył gołe mięśnie strzępami skóry, wziął psinę na ręce i wrócił do zabitej sarny. Tu kawałem własnej koszuli, zmaczanym w potoku, przewiązał ranę, zawinął Boja w ciepły kaftan i poniósł go do domu, prosząc Los o zachowanie mu wiernego przyjaciela. Dopiero na sam wieczór stanął w leśniczówce. Rzucił tylko polecenie gajowemu, by odnalazł i dostawił do leśniczówki rysia i nie wstępując do domu ruszył prosto do wsi. Uderzeniem nogi, by nie poruszyć samego Boja, otworzył drzwi pierwszej z brzegu chaty.

„Jurko! Zaprzęgaj zaraz, jedziemy do miasta" — rozkazał rozespanemu gaździe.

„Panie leśniczy! ciemno już — może jutro..."

„Słyszałeś! Nie martw się o zapłatę i rusz się z miejsca".

Po małej chwili siedział leśny w saniach z Bojem na kolanach, zawiniętym w ciepłą gunię. Sanna była dobra, konie szły ostrym kłusem, leśniczy jeno raz w raz kładł lekko rękę na żebra Boja, badając czy wierne to serduszko bić nie przestało. Około północy dopiero stanęli przed mieszkaniem obwodowego lekarza. Zdziwił on się niepomału, widząc leśniczego niosącego coś na ręku.

„Doktorze! wybacz pan, nie gniewaj się, że przychodzę ze zwierzęciem, choć lepszem od niejednego człowieka. Ocal mi go doktorze" — tu głos mu zadrżał rozczuleniem — „ocal go, błagam cię o to! Nic nie mam na świecie droższego nad tego psa, który pamięta pan, życie mi ocalił". Położył zawiniątko na stole. Przed lekarzem leżał na podesłanym kaftanie, twardym od zmarzłej krwi, biały ongiś, jak śnieg, foksterjer i dyszał ciężko.

„Tak mi go urządził ryś, panie doktorze, jednem uderzeniem łapy. Sam nie umiem poradzić. Lewa noga złamana, a zdaje się, że i któreś żebro". Lekarz, jakby nie słyszał tych słów, zdjął zakrwawioną koszulę i syknął cicho ujrzawszy ranę. Jaworski oczu nie spuszczał z twarzy doktora. Zaczęły się oględziny. Boj nie miał siły ugryść ręki, która chcąc go ratować, nowy ból zadawała. Leśniczy gładził tymczasem kędzierzawą główkę i przemawiał jak do dziecka. „Cicho, piesku, cicho! Zobaczysz że pan doktór ci pomoże! Wymyje ci ranę, nóżkę złoży, obandażuje i zdrów będziesz jak rybka. Tylko cierpliwości! Nie ruszaj się!"

Czy Boj zrozumiał swego pana? Jestem przekonany, że tak. Z wysiłkiem bowiem wysunął język spalony gorączką i polizał rękę lekarza. Ten pogładził pacjenta po głowie i rzekł: „Tak tedy, panie leśny, noga i dwa żebra złamane, fraktura na szczęście pojedyncza, a taka się daje wyleczyć. Ale nie ręczę, czy pies nie będzie kuleć, bo złamanie u zwierząt jest trudniejsze do leczenia, niż u ludzi. Najwięcej mnie niepokoi utrata krwi. Pies jest na śmierć wycieńczony. Dobrze, żeś pan zimnym okładem trochę ją zatamował. Mięśnie coprawda podarte szpetnie, lecz rany zwierząt leczą się łatwiej, niż nasze ciało, zdegenerowane kulturą. Trzeba teraz wymyć ranę i zaszyć pieskowi potargany żakiet".

Przy operacji jęczał cichutko biedny Boj, lecz milkł zawsze na głos pana. Nakoniec złamana nóżka dostała gipsowy bandaż i pacjenta znów owinięto ciepło.

Tu dopiero doktór zauważył, że leśniczy niema ciepłego okrycia.

„Też rozum! Mróz i noc, a ten sobie jeszcze na letniaka!"

„Zapomniałem na śmierć doktorze, myślałem tylko o Boju. Niech mi pan co pożyczy na grzbiet!"

I poczciwy doktór dał mu własny kożuch podróżny z prośbą o rychłe odesłanie.

„A co jestem winien? panie doktorze. Dam wszystko, co pan chce, taki jestem wdzięczny!"

„Aż tak?" — odparł lekarz. „Więc moje honorarjum jest takie: za miesiąc, tutejszy oddział Czerwonego Krzyża urządza akademję i pan weźmie udział w niej — zagrawszy jeden kawałek na wiolenczeli".

„Dziesięć doktorze, nie jeden. To wszystko mało, za pańską dobroć... A jak będzie z akompanjamentem?"

„Jest i jeszcze jaki? Palce lizać! U inspektora skarbowego bawi młodziutka siostrzeniczka, w zeszłym roku dopiero skończyła konserwatorjum".

IV.

Rekonwalescencja Boja postępowała wolnym krokiem, ponieważ pacjent ani minuty nie mógł uleżeć spokojnie. Pierwszy tydzień leżał jak Łazarz cicho i apatycznie, nawet do miseczki nie wstawał. Leśny podnosił mu głowę, podstawiał talerzyk z mlekiem ciepłem lub rosołem i pies językiem zlizywał po trochę strawę. Największa rozpacz była, gdy leśny wychodził z domu do szkółek, sadzenia, lub innych obowiązków. Najlepiej goiła się rana łopatki. Lekarz przewidując ropienie, nie zaszył jej na głucho, dezynfekcję zatem przeprowadzał Boj sam, przy pomocy języka. żebra goiły się dobrze, kłopot jedynie był z nogą. Gipsowy bandaż drażnił psa i trzeba było wciąż czuwać nad nim, by go nie rozgryzł zębami.

Tymczasem przyczynę złego — rysia, obciągnięto ze skóry tak, że łapy pozostały z pazurami nietknięte. Skórę na wewnętrznej stronie nóg i ogona wypełniono papierem, dzięki czemu nie skręciła się przy schnięciu. Chrząstki uszne usunięto, ponieważ w tem miejscu skóra najłatwiej się zaparza. Tak przyprawiona skóra napięta na klinowatą deskę suszyła się powoli na strychu. Gajowy Korzan był mistrzem w tych rzeczach i nie mógł go nikt bardziej obrazić, jak dając rady, lub broń Boże, robiąc uwagi przy zdejmowaniu skóry. Miał do tego specjalne narzędzie, które przed dwudziestu laty sam sobie zrobił ze starej kosy. Był to nóż z zagiętym końcem, ostry jak brzytwa. Zawinięty w natłuszczone łaty, przechowywał Korzan jak drogocenny talizmam swej sztuki w zamknięciu razem z najważniejszemi papierami i osobistemi dowodami służbowemi. Obok niego spoczywała specjalna osełka, służąca do ostrzenia tylko jego jednego.

Raz tylko pokusiło coś Korzanową zwrócić mężowi uwagę, że mu zdejmowanie skóry powoli idzie. Dostała wtedy za swoje, że nie wiedziała, gdzie oczy podziać ze wstydu. Bez ceremonji wypomniał jej, jak to nieboszczyk jej ojciec, również gajowy, zaparzył lisa a potem przeciął kunę, zabitą przez samego pana nadleśniczego. I dziś córka takiego niedołęgi, będzie robić jakieś uwagi jemu, co jeszcze nigdy jednej skórki nie zepsuł?

Potem przyszła kolej na czaszkę. To też nie każdy potrafi. Gajowy wziął żonie najlepszy garnek z kuchni, napełnił go zimną wodą i zanurzył w nią całą czaszkę rysia tak, aby nigdzie nie dotykała ścian i dna garnka. Potem gotował wodę przez dwie godziny. Oczywiście kuchnia cała była w ten sposób zajęta — ku rozpaczy pani gajowej. W drugiem naczyniu miał czystą gorącą wodę. Wydobył wreszcie czaszkę i tępym nożem, przy ciągłem polewaniu gorącą wodą usunął z niej mięso do ostatniego włókna. Najtrudniejsza sprawa była z mózgiem i chrząstkami nosowemi. Załatwiwszy się i z tem, powyjmował palcami zęby, osuszył i z powrotem obsadził na gipsie. Miał jeszcze jeden zwyczaj — mianowicie — wyjmował starannie kulę i zawiniętą w papierek oddawał strzelcowi, Ryś dostał dwie kule. Pierwszą w biegu między żebra. Przeszła gładko, zraniwszy oba skrzydła płuc. — Druga dostrzałowa — rozerwała kręgi szyjne i zdefor-

mowana tkwiła pod skórą. Tę ostatnią, nie mytą, zawinął w papierek z napisem: „Ryś, druga kula, kręgi szyjne, Hawryłów Jarok, 25 lutego 19..“

Zdjął z deski wysuszoną skórę, przewrócił ją, dokładnie wytrzepał i wyczesał. Papierek z kulą schował do kieszeni, czystą czaszkę zawinął w skórę i z tem zameldował się leśniczemu.

Ten znał Korzana na wylot i wiedział, czem go najmilej pogłaskać.

„Nie potrzebuję chwalić, bo wiem, żeście zrobili wszystko jak artysta. Moglibyście, panie Korzan, na uniwersytecie wykładać sztukę preparowania“.

Tu gajowy opowiedział, jak znalazł najpierw sarnę, potem po śladach doszedł do rysia — jak podług niego mógł wyglądać pościg za rysiem i atak Boja — wreszcie podał leśniczemu zwinięty papierek ze słowami: „a tak, panie leśny wygląda ostatnia kula!“

V.

Pewnego dnia meldował Korzan leśniczemu:

„Mamy w rewirze kłusowników. W zeszłą środę o szóstej wieczorem padły dwa strzały w Zakopowańcu, wczoraj jeden w Hawryłowej, a dziś gwizdnęła mi kulka koło uszu na Młakach“. — Leśniczy zerwał się z krzesła.

„Dlaczego dopiero dziś mi to meldujecie? — Co?“

„Nie chcieliśmy panu leśniczemu przeszkadzać w zajęciach. Myśleliśmy, że damy sami radę. Ale potem powiadam do kolegi: „Brachu — tak nie można — pan leśniczy musi o tem wiedzieć“. — To i przychodzę z meldunkiem“.

Leśniczy trąc czoło, przechadzał się po pokoju.

„A macie na kogo podejrzenie?“

„Podejrzenie — to mam — ale co mi z podejrzenia? Nikt inny to nie będzie — jeno zezowaty Michał. Właśnie wrócił z wojska. Łotr pierwszej klasy! Musiał i w wojsku coś przeskrobać, bo go jakoś długo trzymali. A dobrał sobie godnego kompana, Oleksę — sołtysowego syna“.

„Zrobimy tak: będziecie mieli na oku dolną część rewiru, gajowy Szymek wieś — a ja rewir górny. Dziś w nocy wszyscy trzej na stanowiska, a po strzale — wszyscy prosto na dym! Tymczasem do widzenia!“

Tego więc jeszcze brakowało, aby jakaś banda — tu — pod samym nosem leśniczego, śmiała wybijać zwierzynę!

Obejrzał broń, sprawdził magazyn — i zaczął się ubierać ciepło, noce górskie bowiem bywają chłodne nawet w lecie. Boj nie spuszczał zeń oka. Leżał spokojnie, aż, gdy leśniczy zarzucił na ramię sztucer, zerwał się z posłania, skomląc radośnie. „Chcesz pójść ze mną piesku? A nóżka cię nie będzie bolała? Stęskniłeś się za lasem, prawda? No to chodźmy razem kochasiu!“

Szli powoli po stoku góry — na grubego, choć nie pożądanego zwierza. Obaj czuli doniosłość chwili. Człowiek rozumem, pies instynktem. Słońce miało się już ku zachodowi, gdy stanęli na szczycie. Ostatnie promienie złociły okoliczne wierzchołki. Ze wszech stron dochodził śpiew ptaków. Każdy samczyk na innym instrumencie przygrywał swej małżonce i dzieciom. Kos — mistrz flecista — wygrywał tęskne, rwane melodje. Drozd, pstry pajacyk, usiadł na samym wierzchołku świerczka i nie bacząc, że słaby pęd gnie się pod nim na wszystkie strony, zawodził swą arję pełnym gardziołkiem. Jaworski choć stary bywalec leśnych koncertów, stanął, słuchając z zachwytem. Boj tylko, nieczułym się okazał na piękno natury. Nieznacznie jeszcze kulejąc, chciwie i z jakąś szczególną uwagą wciągał ciepłe — wieczorne wypary leśne.

Wietrzyk ustał zupełnie. Prócz śpiewu ptactwa, niezmącona cisza zalegała świątynię przyrody. Bezdrożami doszli do leśnej halizny, gdzie Jaworski starannie zbadał okolicę przy pomocy lornety. Na soczewce zamajaczyła czerwona plama. Co to jest? Latem złamana gałąź uschnie — i czerwieni się podobnie. Ale to nie to... — Brzoza zżółknie, buk zczerwienieje, leszczyna nabierze tonu palonej cegły a tu, czerwona plama z odcieniem żółtawo-brunatnym. Patrzy dalej... plama się porusza! To rogacz, tęgi, wyleciały już, pasie się spokojnie wśród wysokich łopianów. Co chwila otrząsa natrętne muchy, lub ruchem uszu spędza je z głowy. Halizna była niewielka, strzał ze wszystkich stron możliwy. Oczywiście, nie było tu kłusownika, rogacz tak długo nie stałby tu spokojnie. Pocichu obeszli leśną idyllę i zmrok już nadszedł, gdy stanęli na Wilczej rohli, gdzie leśniczy zamierzał przenocować, a raczej doczekać się świtu. Nałamał naręcz gałęzi, położył pod starym bukiem i usiadł. Wydobył nieco jadła z plecaka, pożywił siebie i Boja, rozsiadł się wygodnie oparty o pień drzewa, broń położył na kolanach, pas dla pewności owinął wkoło ręki i zadumał się głęboko. Przed wyobraźnią leśniczego przesuwał się nieskończony szereg wspomnień bolesnych, to znów jaśniejszych, aż sen skleił znużone powieki...

Gwiazdy już pobladły, na wschodzie różowiało. W gęstwinie nad potokiem przebudził się słowik, śląc ku niebu trele wdzięczności za życie i wiosnę. Zbudził się i leśniczy. Sennym wzrokiem objął okolicę, wsłuchując się w ciszę leśną. Wtem na przeciwnem zboczu, porosłem gąszczem młodej krzewiny, huknął strzał, a po nim wkrótce drugi.

Leśny i pies zerwali się na równe nogi. Bez namysłu rzucili się obaj prosto na dym. Boj, jakby wiedział, o co chodzi. Wszystkie mięśnie napiął, jak struny, czarnym noskiem chciwie szukał wiatru i biegł na dziesięć kroków przed panem. Przeskoczyli potoczek i dostali się na opuszczoną ścieżkę. Szli łatwiej i ciszej. Ścieżka wiła się serpentyną dotykając wszystkich łączek leśnych. Jaworski co tylko minął zakręt ścieżki, gdy tuż przed nim, jakby z pod ziemi wyrósł, stanął wysoki drab ze strzelbą przez plecy. W jednej chwili leśniczy się zmierzył wołając: „Złóż broń! raz... dwa...“ Kłusownik w milczeniu rzucił strzelbę w krzaki. Leśny nie spuszczając z oka draba, schylił się, by ją podnieść, gdy nagle Boj jednym skokiem rzucił się w gąszcz, skąd równocześnie padł strzał i leśny zwalił się na ziemię. W gąszczu zaś zawrza-

ła walka, przerywana ordynarnemi klątwami. To bohaterski pies rzucił się drugiemu drabowi wprost do gardła. Kurczowo zaciśnięte kły Boja przejęły grubą chustkę, zawiązaną na szyi, nie dostając się do ciała. Drab klął usiłując oderwać zjadliwego psiaka. Boj puścił gardło i wpił się zapamiętale w rękę. Drab ryknął z bólu i znów zaklął nieludzko. Wtem drugi kłusownik, rozbrojony uprzednio przez leśniczego, podniósł strzelbę i szedł w pomoc koledze. Jedno pociągnięcie cyngla i ciało dzielnego Boja zwinęło się kurczowo raz i drugi, poczem bezwładnie opadło na ziemię.

W pół godziny potem znaleźli obaj gajowi ciężko rannego leśniczego w kałuży krwi. Obok niego zaś śnieżno białe zwłoki foksteriera — Boja. Na prędce sklecili nosze, położyli na nie leśniczego, u nóg jego — wiernego Boja i pośpieszyli nie do wsi, lecz prosto do miasteczka. Szczęście im sprzyjało. W pierwszej wiosce dowiedzieli się, że lekarz bawi tu u chorego gospodarza. Przybiegł natychmiast. Na widok śmiertelnie bladego leśniczego i trupa wiernego jego psa u jego nóg, ścisnął kurczowo wargi. Jako lekarz, był z widokiem śmierci oswojony. Lecz tu leżała niewinna ofiara powołania, nad innych drogi mu człowiek, serce prawe i czyste.

„Korzanie! Wy mi wystarczycie do pomocy — a kolega niech biegnie na posterunek żandarmerji“.

Zaniesiono rannego do najbliższej chaty. Zaledwie zdążył lekarz rozebrać leśniczego, gdy weszli dwaj żandarmi w pełnem uzbrojeniu. Zasalutowali doktorowi i przystąpili do badania gajowych. Korzan nie wiedział nic ponadto, że usłyszawszy cztery strzały na Jaworowym stoku, pośpieszył tam podług rozkazu. Po drodze natknął się na kolegę, który strzałów nie słyszał, lecz rano, przed świtaniem widział w opłotkach wioski dwie ciemne postacie, zmierzające do lasu. Nie poznał ich po ciemku, w podejrzeniu jednak ma sołtysowego syna i zezowatego Michała.

Tymczasem lekarz obnażył ranę. Kula z wojskowego karabinu uderzyła w plecy, przeszła klatkę piersiową, strzaskała jedno żebro i wyszła z ciała. Zdaje się, że płuca są też uszkodzone, lecz głównie obawiać się należy powikłań. Takie kule są nieobliczalne. W każdym razie rana jest bardzo poważna, chorego należy natychmiast odwieść do szpitala i to koniecznie szpitalnym samochodem, bo kryzysu należy się lada godzina spodziewać. Przy przemywaniu rany, chory się ocknął z omdlenia.

„Gdzie Boj?“ spytał z wysiłkiem.

„Leży tu przy was — panie leśniczy — nic mu nie brakuje“ skłamał doktor — „i pan też musi spokojnie leżeć — nie ruszać się i nie mówić!“

Sprowadzono niebawem samochód i poczciwy doktor sam odwiózł rannego do szpitala.

Żandarmi spisywali właśnie protokół zeznań gajowego. Korzan opowiedział jeszcze, co widzieli na miejscu zbrodni. Znaleźli zatem zastrzeloną łanię, ciepłą jeszcze, parę kroków dalej na środku ścieżki leżał postrzelony pan leśniczy a przed gęstwiną zastrzelony Boj. „Zdaje mi się“ dodał jeszcze gajowy, „że łotrów było dwóch. W krzakach leżała stara dubeltówka — jedna lufa nabita. Druga wystrzelona. Nie zabraliśmy jej, bo by nam przeszkadzała. Pan leśniczy dostał postrzał z boku, od drugiego łotra. Pies widocznie rzucił się na niego — i biedak przepłacił to życiem. Boj był bardzo ostry i zażarty, więc tak myślę, że na miejscu powinniśmy znaleźć szmaty z ubrania a i pogryść musiał draba porządnie“. Obu rękami podniósł zastygłe ciało foksteriera i położył je na stół. Pies dostał cały nabój śrutowy z bezpośredniej bliskości. Śmierć musiała nastąpić momentalnie. Przód cały był we krwi. „Co to? I morda skrwawiona?“ zdziwił się wachmistrz. „Musimy to bliżej zbadać!“ I rzeczywiście, Boj miał ślady walki na wargach. Z trudem otworzyli mu zastygłe szczęki. Ku zdumieniu obecnych, coś z nich wypadło na podłogę. Wachmistrz schylił się po to i rzekł z tryumfem: „Już go mamy w ręku — łajdaka! Popatrzcie! Lepszej wskazówki ten piesek nie mógł nam dać!“ — i położył na stole wskazujący palec ludzki odgryziony na drugim — środkowym stawie.

„A teraz — panie gajowy — najkrótszą drogą do waszej wsi — póki nam ptaszek nie ucieknie!“

„Kolego“! szepnął po drodze Korzan do drugiego gajowego. „Niech — nie daj Boże — nasz pan leśny umrze — wiedz o tem już dziś, że tego łotra sam zastrzelę jak psa — przy pierwszem spotkaniu! Te sądy — to głupstwo! Zrobi się z tego nieostrożność, nieszczęśliwy wypadek, adwokat doda swoje — i po pół roku taki łotr będzie znów do nas strzelał“.

Zmrok zapadał, gdy żandarmi doszli do wsi. Skierowali się naprzód do chaty zezowatego Michała, stojącej na końcu wsi na uboczu. Zastali drzwi zamknięte.

„W imieniu prawa — otworzyć!“ zawołał posterunkowy.

Cisza. — „W imieniu prawa — otworzyć — bo wysadzimy drzwi!“.

„W imieniu piekła — idźcie do wszystkich djabłów! żywego mnie nie weźmiecie!“ brzmiała odpowiedź.

„Trzeba będzie rozbić drzwi!“ rozkazał wachmistrz — i wkrótce przyniesiona od sąsiada siekiera kilka razy uderzyła w zawiasy. Drzwi ustąpiły — żandarmi weszli do sieni. Przywitano ich strzałem, a kula zerwała wachmistrzowi czapkę z głowy. W tej sekundzie Korzan podniósł broń do oka, padł nowy strzał. Michał wypuścił z rąk karabin, zachwiał się i olbrzymie jego ciało zwaliło się z łoskotem na podłogę. Myśliwski ekspres daje straszne rany. Kula weszła Michałowi nad okiem, przeszyła całą czaszkę i utkwiła w przeciwległej drewnianej ścianie.

„Kto strzelał?“ krzyknął wachmistrz.

„Ja. W koniecznej samoobronie. Patrz pan: jego kula przedziurawiła panu czapkę, a mnie drasnęła w szyję. Miał przecie wojskowy karabin z magazynem. Nie głupi byłem czekać, aż poprawi!“

„Uznaję to za samoobronę, i tak też zeznam przed sądem. Teraz idzie o to tylko, czy Michał istotnie dopuścił się zbrodni na osobie pana leśniczego“.

W sieni było ciemno. Wachmistrz wyrzucił tłum gapiów i zamknął drzwi. Podniósł do góry rękę trupa... była owiązana brudną, skrwawioną szmatą. Rozwiązano ją i z pod wstrętnego gałgana, ukazała się dłoń bez wskazującego palca.

„Ten pies ocalił życie i nam — a głównie mnie" rzekł poważnie wachmistrz. — „Łotr strzelił z lewej ręki — i dzięki temu chybił.

Sołtysów synek przyznał się od razu do winy. Wyjaśnił też wszystko, co było zagadką. Towarzysz strzelał do łani, ta padła na ścieżce, on sam zaś szedł po nią. Zabierali się właściwie do oczyszczenia jej, gdy usłyszeli kroki. Michał skoczył w gąszcz, on zaś — zalękniony — został na miejscu. Pies rzucił się na Michała i to było powodem, że kula poszła niżej. Mówił mu potem sam Michał, że — gdyby nie pies — leśniczy miałby kulę w czole — tak zaś — zdaje mu się, że zdołował. Po zastrzeleniu psa uciekli. Przeczuwali jednak, że odgryziony palec może ich łatwo zdradzić, a całą nadzieję pokładali w tem, że może się nie odnajdzie. Michał wybierał się na noc sprawdzić na miejscu, czy leśniczy nie żyje i poszukać palca — przed nadejściem komisji śledczej.

Znać było, że chłopak jest jeszcze nowicjuszem — i że do złego namówił go Michał. Pomimo to, żandarmi nałożyli mu kajdanki i odprowadzili do sądu.

A koniec powieści?

Sąd ukarał ciężko Oleksę za kłusownictwo i współudział w usiłowanem zabójstwie. Gajowego po wysłuchaniu świadków — uniewinniono.

Leśniczy przeleżał w szpitalu, długie tygodnie. Cudem przyszedł do zdrowia, dzięki sztuce lekarskiej i silnej swej konstrukcji.

Pięknego dnia jesiennego powrócił blady i wymizerowany do swej leśniczówki. Na progu domu powitali go obaj gajowi prostemi, ale serdecznemi słowami. „Gdzie pochowaliście Boja?" było jego pierwsze pytanie. „Leży pod świerkiem — panie leśniczy, obok swej matki!"

Jaworski poszedł pod świerk, zdjął z głowy kapelusz i stał długo nad grobem nie psa, ale przyjaciela oddanego, najwierniejszego stworzenia, towarzysza drogiego, który dlań dwa razy życie własne narażał, aż w końcu położył je w ofierze przyjaźni i poświęcenia.

KONIEC



FRANTZ MUNCH ROSENBERG

Łowy na grubego zwierza

(Tłum. z ang. A. M.)

(Ciąg dalszy)

Graesaamoen. — „Wieniec o 18 odnogach". — Niezwykły strzał.

W Graesamoen goszczeni byliśmy bardzo uprzejmie przez samego gospodarza i właściciela Nils i jego żonę. Mieszkali tu oni tylko w lecie, gdyż Nils posiadał własną fermę w dolinie, a Graesaamoen uważali tylko za swe letnisko „seater".

Składało się ono z dwóch dwupiętrowych domów, sporządzonych z drewnianych belek i kloców i z takiejże stodoły. Widać je było z daleka. Wśród zielonej, częścią błotnistej łąki, niedaleko rzeki Luru, Nils zamieszkiwał jeden z tych domów, a dwie rodziny Lapończyków — drugi.

Czując się bardzo znużonym po ostatnich marszach, wcześnie udałem się na spoczynek i zasnąłem mocno pomimo, że mi było zimno, gdyż noc była chłodna, a na łóżku miałem lekką tylko kołdrę do przykrycia się.

Nazajutrz śliczny był poranek — głęboka cisza panowała w przestworzu, niezamącona najmniejszym podmuchem wiatru. Spodziewaliśmy się jednak w ciągu dnia silnych wschodnich wiatrów, więc skierowaliśmy się w góry Halbu, chcąc dotrzeć jaknajdalej na zachód, aby z powrotem do domu mieć pomyślny wiatr. Tymczasem stało się inaczej, — wiatr przyszedł z zachodu; musieliśmy przeto zmienić zupełnie nasze plany.

Spotykaliśmy wszędzie wiele tropów łosiowych, a niektóre tak były świeże jeszcze, że pies szedł za niemi, ale ponieważ wydawały się nam, że są zbyt drobne, nie zwracaliśmy więc wcale na nie uwagi.

W końcu pod wieczór doszliśmy do lasu, z czego się wielce ucieszyłem, bo na to wielkie pokładałem nadzieje, tymczasem, jak na złość, na nieszczęście, — ujrzałem przebiegającego obłaskawionego renifera! To nam zupełnie popsuło całe tu polowanie — w niwecz obróciło wszystkie nasze marzenia!!! Wciąż pies znajdował nowe tropy, ale zawsze tropy reniferów; — cały teren leśny był niemi pokryty! Przyznać muszę, że z duszy całej kląłem wszystkich tu Lapończyków z ich reniferami i życzyłem im, by wynieśli się stąd jak najprędzej.

Nazajutrz, gdy wyjrzałem przez okno, spostrzegłem Lapończyków: 2 mężczyzn i 2 kobiety z psami. Szli oni wszyscy na wschód, w góry, po swoje renifery; wywnioskowałem więc z tego, że jeśli się udam w zachodnią część lasu, to ich może nie spotkam. Wcześnie więc wyruszyliśmy wzdłuż największej zachodniej doliny i doszliśmy do miejsca, gdzie się nam udało przeprawić się przez rzekę Luru, potem skręciliśmy z powrotem znowu na wschód, trzymając się zawsze wysoko położonych równin.

Las przeważnie był bardzo gęsty, co nam wielce chód utrudniało. Flink wywęszył wkrótce łosia, ale znowu tro-

py jego okazały się bardzo małe, a że zawsze wyobrażałem sobie, że w Snaasa spotkam łosia olbrzymich rozmiarów, więc na te tropy nie patrzyłem nawet.

Wyszedłszy z lasu, znaleźliśmy się na wysokiej płaszczyźnie i tu znowu wszędzie mnóstwo było starych tropów reniferów, a między niemi gdzieniegdzie znajdowały się i tropy łosi. Po chwili pies zwietrzył łosia i pociągnął nas w dół do brzozowej kępy, potem do bagna przy rzece. Tu wyraźne były tropy samych łosi, zdawało się nam, że byka i łoszy. — Znudzeni niepowodzeniem w tym dniu, — choć się nam tropy te także nie wielkiemi zdawały — postanowiliśmy iść za niemi. Tymczasem, ku wielkiej naszej uciesze, spostrzegliśmy, że w niektórych miejscach te same tropy były większe; — okazuje się, że ślady tych samych racic bywają większe i mniejsze — zależnie od gleby, na której się wycisnęły.

Łoś widocznie szedł wolno w stronę rzeki Luru, która tworzy tu małe odnogi; — wszędzie widać na nich wysepki pokryte gęsto drzewami; nazywają je Luruholmene. Tropy prowadziły przez rzekę, tak, że zmuszeni byliśmy ją przebyć — przemokliśmy więc zupełnie.

Las po drugiej stronie rzeki był tak gęsty, że zupełny mrok panował pomiędzy pniami drzew. Flink stał się bardzo niespokojnym i prowadził nas wciąż to w tę, to w ową stronę, gdyż tropy wszędzie się krzyżowały.

Wtem, najniespodziewaniej, dmuchnął wiatr przykrą woń, właściwą łosiom w bekowaniu. Szepnąłem więc Lorentsowi, aby tu pozostał z psem, a sam ostrożnie zacząłem się naprzód podkradać.

Wstrętna ta woń stawała się coraz to silniejsza, i w końcu natknąłem się na miejsce, świeżo utarzane, zwane po norwesku „brunsta" t. j. zdeptane przez byka. Szedłem bardzo wolno krok za krokiem, unikając jak tylko można było, suchych gałęzi i wytężając usilnie wzrok na wszystkie strony pomiędzy pniami drzew.

Nakoniec, na lewo dojrzałem ukryte prawie zupełnie w grubem listowiu drzew, olbrzymie ciemne cielsko, a para wspaniałych płaskich łopat ledwo widniała w tym gąszczu. Byk już mię zoczył i wnet kierował się do ucieczki, zmuszony więc byłem natychmiast strzelać. — Wybrawszy więc co tchu punkt do strzału w miejsce, gdzie miałem wrażenie, że się jego łopatka znajduje, puściłem dwie kule, jedną za drugą. Byk zerwał się gwałtownie i momentalnie znikł pomiędzy drzewami; wykombinowałem więc z tego, że go żadna z tych moich kul nie dosięgła.

Muszę tu teraz nadmienić, że gdy powracałem z myśliwskiej mojej wyprawy w Afryce, w czasie wojny światowej, skutkiem wielu niemiłych rewizyj na statkach wojennych, straciłem cały mój zapas myśliwskiej amunicji i zostałem tylko przy moim starym repetierze 303 klbr. „Savage" i strzelbie 28 klbr. „Westley Richard", dla których pozostało mi jeszcze kilka naboi. Temi ostatniemi tu się właśnie posłużyłem i zapewne miedziane kapturkowe pociski, głęboko wydrążone, rozbić się musiały w krzakach w drobne kawałki.

Nadbiegł teraz Lorents z Flinkiem; ten ostatni poznawszy moje niezadowolenie, zrozumiał o co chodzi i skomlił żałośnie. W zdumienie mnie wprawiała zmyślność i inteligencja tego psa; — skomlenie bowiem oznaczało u niego, że zwierzę, które puściłem i które teraz uciekało, było właśnie łosiem; nie wiem zupełnie jakim sposobem on to wiedział.

Gdyśmy wyszli z lasu, stanęliśmy nad ogromnem błotniskiem i raptem mignął się nam wtedy łoś z drugiej strony lasu w towarzystwie łoszy. Dążyły one na wschód, trzymając się brzegu lasu, nie spiesząc się zbytnio.

Nie mając już zaufania do tych kul miedzianych, wziąłem do ręki stary mój repetier „Savage", który, na szczęście, Lorents mi przyniósł i pogoniliśmy za łosiem, mając jeszcze nadzieję, choć słabą nieco, podejść go znowu.

Na nieszczęście wiatr dął ze wschodu, więc zwróciliśmy się w bok i biegliśmy wysoką płaszczyzną, aby go wiatr od nas nie dochodził.

Lorents dostrzegł go gdzieś na mgnienie oka, ja się wnet w tę stronę porwałem, ale zobaczyłem tylko łoszę i to w chwili właśnie, gdy znikała na małym pagórku.

Choć się czułem strasznie zmęczony i zadyszany, dobiegłem jednak do tego pagórka w chwili, gdy łosie przechodziły niczem nie osłonione obszerne bagnisko. Posłałem kulę bykowi, który się wnet zatoczył w bok potem jeszcze jedną, która go zmusiła do odłączenia się od żony i zawrócenia znowu na zachód; nareszcie trzecia kula powaliła to wielkie cielsko na miękką błotnistą ziemię.

Łoś ten robił wrażenie prawdziwie potężnego zwierza; jego wspaniałe płaskie łopaty miały: na jednej 9, a na drugiej 6 pasemek, tworząc wieniec o 18 odnogach, o rozpiętości przeszło 47 cali.

Przeważnie cały dzień padał ulewny deszcz z krótkiemi od czasu do czasu przebłyskami słońca, i teraz zdawało się nam, że będzie zaraz zlewa, pośpiesznie więc roznieciliśmy mały ogień. Flink tymczasem z miną władyki to dumnie obwąchiwał łeb ubitego byka, to znów wyrywał zębami nerwowo i z zadowoleniem całe pęki sierści z kudłatych jego boków; wreszcie, gdy się nam woda zagotowała, z przyjemnością popijaliśmy gorącą herbatę przy smacznej zakąsce. Wypuściwszy wnętrzności łosia, pozostawiliśmy resztę czynności, t. j. zdejmowanie skóry i ćwiartowanie mięsa na inny, pogodniejszy dzień i zawróciliśmy do Graesaamoen, uradowani z łowu.

W pobliżu zabitego łosia natrafiliśmy na świeże zupełnie tropy innego, który szedł prosto na nas; zauważyliśmy jednak, że w jednem miejscu tropy te raptem zwróciły się w inną stronę; zrozumieliśmy łatwo, że łoś wystraszony memi strzałami, umknął na szczyty góry Halbu. To nam wiele dobrego na przyszłość obiecywało.

Niesłychana radość zapanowała tego wieczora w Graesaamoen, gdyśmy przybyli z tak dobrą nowiną! Nie mniej cieszyły się i obie Laponki na samą myśl świeżego mięsa łosiowego.

Prawdziwie przyjacielski i serdeczny stosunek nawiązaliśmy z tem ciekawem bardzo plemieniem; szczególnie

zadowolenie i uprzejmość nam pewną okazywali, gdy zrozumieli, że uda się im dostać od nas od czasu do czasu po jakim łyku dobrego spirytusu; ja znowu, ze swej strony, skorzystałem z okoliczności zbliżenia się do nich i wyprosiłem u nich kilka lekcyj wyrabiania z senesowej trawy, doskonałej tkaniny ich narodowej, zwanej przez nich „Komager", gdyż się przekonałem osobiście o nadzwyczajnej zalecie obuwia fabrykowanego z tej trawy; używałem bowiem teraz taką jedną parę zapasową Lorentsa.

„Komager" wyrabiany w Snaasa, różni się innym cokolwiek sposobem od wyrobu Lapończyków. Oba sporządzają się na wzór „moccasin", ale pierwszy wyrób jest solidniejszej roboty, ma cienką podeszwę i niskie obcasy nabite gwoździami, co zapobiega ślizganiu się na pochyłym, mokrym terenie. Gdy te „Komager" dobrze są natłuszczone i wysłane grubą tkaniną z senesowej trawy, można chodzić w nich cały dzień po błocie, a nawet wodzie, bez najmniejszego przemoknięcia nóg, gdyż trawa ta wciąga i zatrzymuje w sobie całą wilgoć, nie przepuszczając jej wcale.

Nadeszła niemiła, dżdżysta i chłodna pora roku; nie mogąc więc polować z powodu ciągłej niepogody, inny sobie plan zajęcia na ten dzień ułożyłem. Ponieważ Lapończycy spędzili właśnie z gór całe stado renów do ubicia, wybrałem się je zobaczyć.

Ładny to był widok: 40 do 50 renów zebranych było na równinie na wschód od fermy. Niektóre z nich miały wspaniałe rogi a wzrost i budowa ich ciała była okazała. Były jednak i mniejsze między niemi; to zależało od gatunku, który jest u nich wieloraki. Szczególniejszą zwróciłem uwagę na rogi jednego z nich; i tak: lewy róg był zupełnie cienki, gdy tymczasem prawy — niezwykle gruby i pokryty mnóstwem nieregularnych odnóg, które dochodziły aż do szczytu pnia. Łeb ten przypominał mi te sławne, oryginalne łby rogaczy, perukarzy. Poprosiłem więc Lapończyka, aby zabił tego rena i kupiłem u niego ten łeb, jako wielce ciekawy okaz.

(C. d. n.)



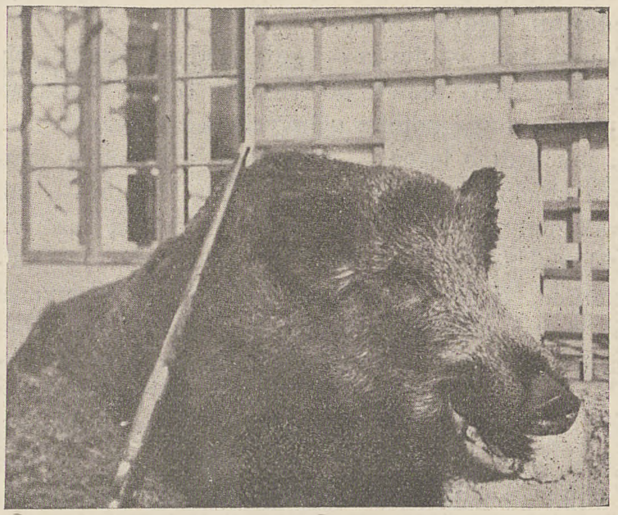
Mozaika Dzicza

A. SZASZKIEWICZ

„DZIADEK"

Wspomnienie z zimy

Słusznie go „dziadkiem" nazwano, bo niejednej dziczej generacji dał istnienie, — i tak jak senior rodu, był wyrocznią, sędzią i panem dziczej gromadzie. — Sędziwy zrzęda, sybaryta, nie znosił rechtania warchlaków, — a niejeden z pośród starszych wiekiem dzików boleśnie nieraz doświadczył władzy tego pana kniei. — Zawsze sam, jak żyd wieczny tułacz, włóczył się z miej-



sca na miejsce, ukazywał się to tu — to tam, jak mara jakaś, zawsze jednak na krótko, nieuchwytny, niedościgniony dla tych, którzy go od lat wielu prześladowali. Któż go nie znał? — Jedni, co go na własne oczy oglądali w upalne noce letnie, kiedy całe cetnary ziemniaków tonęły w jego ogromnej paszczy, — drudzy z opowiadań, którym po wsiach końca nie było... Myśliwych zawsze chytrze omijał, kpił z kłusowników, których lotki i siekańce daremnie starały się przeszyć jego żywicą opancerzoną skórę. — Odgłos strzału, który kiedyś lękiem go przejmował, dzisiaj lekceważył, — rósł i potężniał ufny w swe siły, poważnie krocząc szlakiem swego żywota.

Podczas ostrej zeszłorocznej zimy, jeden z gajowych natknął się przypadkowo na trop bardzo dużego dzika, na tropie jednak brak było jednego z czterech odcisków. „Dziadek" z niewiadomych przyczyn kulał, wlokąc za sobą jedną z zadnich rapet. — Minęła wreszcie straszna wszystkim zima, — liczne dziki przemierzyły rzemieńską knieję, wiele z nich upiększyło rozkład polowań zimowych, natomiast o „dziadku" wszelki słuch zaginął tak, że i o nim z czasem zapomniano, — może padł gdzieś w kniejach odległych głodem zmorzony, może kula szczęśliwa przecięła nić jego żywota...

Minął rok, — z nim wiele przeżyć, — przebrzmiał głos dzikarza w kniei, minęła pełna przygód huczka, nie-

jednej sceny świadkiem była knieja... Nastał luty. — Był cichy słoneczny dzień, jeden z tych, w którym zima ostatnie o władzę stacza boje przed słońca zwycięstwem. W taki to poranek, radosną a tak poważną wieść mi doniesiono: „kulawy dziadek w niedużym obcięty oddziale“, — brzmiał raport gajowego. — Któremuż z myśliwych nie zabije żywiej serce na taką wiadomość?!

W niespełna godzinę potem, posuwając się, jak duch cicho, omijając po drodze leżący tu i ówdzie śnieg, stanąłem nad potokiem, wzdłuż którego trzech rapet ogromnych widniały odciski. — Trop wchodowy! — Byłem sam na linji, leśniczy daleko stał na flance. Przez chwilę, po odrobince deptałem miejsce pod sobą, by przypadkiem coś nie chrupnęło, — cisza zaległa zupełna, od której w uszach dzwoni, — jedynie dyskretny głos jakiś szeptał mi: będzie twoim...

Stałem tak — długo — cały pod wrażeniem chwili, gdy nagle cichy ledwie dosłyszalny trzask łamanego lodu przedemną w potoku uchwyciłem i równocześnie prawie, jak widmo leśne — wspaniały w ogromie, szronem wieku obielony, stanął „on“. — Tuż za nim — jak zabawka mały, zacny Pikuś, cicho i z pewną rezerwą naszczekiwał. — Ujrzał mnie odyniec „patryjarcha“, — zrozumiał, że jedynie szarża dać mu może zwycięstwo, więc ruszył cwałem zjeżony cały wprost na mnie. — Z suchym trzaskiem strzału uczuł nagle niemoc w sobie, — jakąś straszną, niemoc, której nie mógł pojąć, — czyżby przestrach, lub starość były jej powodem? Krok jeszcze naprzód postąpił, pragnął odpocząć, by nowych do walki sił nabrać, — lecz mgła jakaś przysłoniła mu oczy — poczuł smak krwi własnej w gardle...

Kiedy podszedłem, by go oglądnąć, już nie żył. Leżał jak odłam skały wichrem powalony, — groźny jeszcze po śmierci. — Legł, jak bohater w szarży, szlachetną ugodzony kulą.

Przybyły mi wspaniałe — chociaż bardzo zużyte szable, — lecz o wiele cenniejszy z kniei wywoziłem klejnot... — wspomnienie!

KAZIMIERZ MARMOROSS

DZIK BEZ RACIC

Razu pewnego odbieram raport z kniei, że jest otropiony duży dzik w jednym morgu, w bardzo gęstem bagnie łozowem, który przyszedł z sąsiedniej kniei, mało farbując i niewyraźnie znacząc swoje tropy.

Wybrałem się więc zaraz w towarzystwie mojego syna na oznaczone miejsce, gdzie zastałem oczekiwających na mnie leśniczych.

Zdawało się, że wypędzić dzika z tak małej przestrzeni wielkiej trudności, jeżeli jest jeszcze przy życiu, nie może stanowić.

Rozstawiliśmy się więc we dwójkę, a leśni idą napędzać, z tem, że jeden z nich pójdzie tropem.

Ledwie się leśni w łozach zagłębili, słyszę fukanie i kłapanie dzika, krzyk leśnych, którzy coprędzej uciekają z tego zbitego gąszczu, by wydobyć się na wolniejsze miejsce, bo dzik z miejsca zaatakował.

Rada w radę, syn mój postanawia iść sam tropem dzika, ale ponieważ łozy tak są gęste, że trudno się w nie wcisnąć, więc bardzo to niebezpieczna wyprawa, bo w razie ataku, po strzale nie można w bok odskoczyć. We dwu razem iść mowy także niema, bo jeden drugiemu nic pomóc nie może. — Postanawiamy więc, że leśny Mikołaj, uzbrojony w gruby drąg, pójdzie tropem dzika pierwszy a drąg ten nietyle dla obrony własnej, co dla odchylania łóz zasłaniających zupełnie widok przed idącym, służyć mu będzie. Za Mikołajem o krok postępować ma syn mój z gotową bronią do strzału (uzbrojony był w Manlichera repetierowego, kal. 8,2 mm, którym z wielką wprawą władał). Ja zająłem stanowisko z przeciwnej strony miotku, gdzie najwięcej spodziewałem się, że dzik naciśnięty wypadnie.

Rozpoczyna się wykonanie planu. — Mikołaj toruje sobie drogę w łozach drągiem, by mieć widok przed sobą, Zdzisław z uwagą postępuje za nim. Gdy są w środku miotku, spostrzega Mikołaj dzika stojącego nieruchomo i pokazuje go Zdzisławowi.

Jest taki gąszcz, że syn mój widzi tylko czarną sylwetkę dzika, ale nie może osądzić, czy frontem, czy też tyłem do niego stoi.

Nie namyślając się długo, strzela i zaraz repetuje, bo odyniec szarżuje na niego błyskawicznie. Drugi strzał na krok przed sobą trafia szczęśliwie w łeb odyńca, kładąc go trupem na miejscu. — Jak się pokazało, pierwszy strzał był od tyłu do stojącego dzika, a choć go kula przeszyła do przodu, miał tyle jeszcze sił, by rzucić się na myśliwego.

Odyniec ten był sporym okazem, a bardzo boleśnie postrzelonym, gdyż obie racice u przednich nóg były jakąś kulą, świeżą odcięte, tak że wierzyć się nam nie chciało, że biedne to zwierzę mogło chodzić, znosząc takie męczarnie.

ANDRZEJ STRZEMIĘ CHWALIBÓG

Pies Przyjaciel

II

W latach 1883-cim czy czwartym, odbyła się we Wiedniu, wystawa jamników (Dachshunde), połączona z próbnem polowaniem, i premjowaniem, na arenie rotundy wiedeńskiej, umyślnie do tego celu przygotowanej, przez zbudowanie wielu sztucznych jam dla lisów i borsuków.

Z licznej rzeszy jamników krzywonogich, czarnych podpalanych i żółtych, zwykłej wielkości i „karzełków“ żółtych, krótkowłosych, wyróżniał się nie tylko wzrostem, lecz i całą budową, jamnik długowłosy, którego wy-

stawiał pewien leśniczy z Słowackiego Podkarpacia, jako „jamnika polskiego". Był to pies znacznie większy i silnie zbudowany, o długim czarnym włosie, żółto podpalany, nogi miał proste, ogon długowłosy, jak u Setera.

Pies ten nazywał się: „Nello", zwracał uwagę wszystkich swoją złośliwością i ciągłem ujadaniem. — Gdy przyszło do próby, przyprowadzony przez właściciela do jamy, wpadał w tej chwili do jej wnętrza, tam rzucał się bezpośrednio na lisa i po krótkiej walce, wyciągał z jamy uduszonego już lisa lub borsuka.

Gdy już tak się załatwił z kilkoma, czyniąc szkodę komitetowi, któremu mogło braknąć zwierzyny do dalszych popisów, sędziowie kazali zaprzestać popisów i psa zdyskwalifikowano, ponieważ zadaniem jamnika nie jest duszenie lisa lub borsuka, lecz jak najprędsze wygonienie go z jamy.

W przeciwieństwie do walecznego „Nella", zadanie to spełniały świetnie, malutkie „karzełki" żółte, tak, że dziwnem się wydawało, dlaczego chytry mykita nawet nie próbował stawiać oporu miniaturowym pieskom, które mógł był z łatwością wydusić, i z największym pośpiechem „wymykał" z jamy, jak ostatni tchórz.

Od właściciela psa, który wyrokiem sędziów był bardzo rozżalony, dowiedziałem się, że pies jest bardzo dobry jako gończak i że polował z nim na dziki, które z wielką odwagą i zażartością atakuje. Po pewnym czasie spotkałem u leśnego w pewnym podkarpackim rewirze psy tej samej rasy, które tenże określił jako: polskie górskie jamniki, i nabyłem parę tych piesków. — Przez długie lata pełniły mi one wiernie służbę, w górskim rewirze, jako jamniki, gończaki (ogary) i dzikarze równocześnie i nieraz miałem sposobność podziwiać ich wytrwałość i odwagę, dlatego zwracam uwagę kolegów myśliwych na tę rasę psa krajowego, którą jeszcze na Podkarpaciu można spotkać.

Dzisiaj, zwłaszcza, gdy w mniejszych rewirach polowanie z ogarami jest ustawowo zakazane, a polowanie z nagonką z powodu trudności terenowych, braku odpowiedniej ilości strzelców nie da się wykonać, polowanie z takiemi pieskami jest nadzwyczaj łatwe i pełne uroku. Pieski te małe mają długi, miękki włos, podbity gęstym jaśniejszym puchem, wskutek czego są niezmiernie na zimno wytrzymałe, tak, że potrafią przepędzić noc na śniegu śpiąc, zwinięte w kłębek, są małe, 30 do 35 cm. wysokie w kłębie, to też gonią zwierzynę wolno, głosząc pięknie, wysokim cienkim głosem. Zwierzyna idzie przed nimi daleko, lecz „obraca" na obszarze kilkunastu morgów, tak, że spotkanie jest łatwe.

Zwłaszcza tam, gdzie z powodu obecności sarn w rewirze, nie można polować z ogarami, gdyż zostałyby przez nie kilkanaście kilometrów daleko, do obcych rewirów przegonione, pieski te znakomicie się nadają. Przed niemi zwłaszcza, rogacz nie ucieka, lecz co ujdzie kawałek, staje, odwraca się w stronę piesków wolno goniących i gdy się zbliżą, tupnie kilka razy, przedniemi „cewkami" i znowu odskoczy nieco dalej, „strasząc" kilkakrotnie, głośnym rykiem. Zwłaszcza, gdy na śniegu utworzy się skorupa, gonne ogary nieraz łapią niestrzelane sarny, co czyni polowanie niemożebnem. Przy jamnikach nie trzeba się tego obawiać, gdyż nawet z małego rewiru sarny nie zostaną wygonione, tak że odstrzał rogacza jest możebny, przy wybieraniu tylko „kapitalnego". Kozy i śpiczaki mogą spokojnie w rewirze pozostać, gdyż zwłaszcza po jakimś czasie, oswajają się z tym nie groźnym wrogiem, jakim jest mały piesek i nie opuszczają miejsca stałego pobytu.



A. SANDER

Krakowski Park Miejski „Las Wolski" i jego bażantarnia

W pismach codziennych i w prasie łowieckiej spotkaliśmy już nieraz wzmianki o zwierzyńcu krakowskim pomieszczonym w „Lesie Wolskim", nie od rzeczy zatem będzie napisać parę słów o samym „Lesie Wolskim" i o przepięknie w nim urządzonej bażantarni, zwłaszcza, że przedmioty te są dla myśliwych o wiele bardziej interesujące, jak kilkadziesiąt sztuk zwierząt pozostających w ogrodzeniach i naturalnej wolności pozbawionych.

Korzystając z łaskawego zaproszenia Gospodarza tej kniei Pana inż. Wobra, zwiedziłem w dniu 20. września b. r. (przy sposobności małego polowania na kuropatwy, na pobliskich polach), Las Wolski i bażantarnię i wyjechałem stamtąd zachwycony tem wszystkiem, co tam widziałem.

Przedewszystkiem jednak trochę historji. Przed wojną należała leśna majętność Wola Justowska do Marcelego ks. Czartoryskiego, a polowanie było wydzierżawione spółce myśliwych z Krakowa, mało dbałej o hodowlę zwierzyny, tak, że już w r. 1912, stan zwierzyny był w rewirze minimalny, a uległ on zupełnemu wyniszczeniu w latach wojennych, w których Wola Justowska i cała majętność przy fortach Skała i Olszanica były ustawicznie zajęte przez wojska. Ale rok 1917 był przełomowym dla losów rewiru, bo w tym roku Kasa oszczędności miasta Krakowa, dla uświetnienia swego 50-cio letniego jubileuszu zakupiła za inicjatywą b. Prezydenta Krakowa ś. p. Juljusza Leo cały obszar leśny, 600 morgowy Justowskiej Woli, ofiarowując go miastu z przeznaczeniem na Park ludowy. Od tej chwili nastąpiła poprawa stosunków łowieckich w rewirze, bo zarząd parku dał odrazu niedobitkom zwierzyny t. j. wówczas zaledwie kilku sarnom i niewielu zającom ścisłą ochronę, zarządzając energiczne tępienie rozwielmożnionego kłusownictwa, tudzież odstrzał drapieżników. Przystąpiono też wkrótce do dokarmiania zwierzyny, zakładając w tym celu paśniki, lizawki i betonowe poidła. To też już po kilku latach stan zwierzyny poprawił się znacznie, a dziś

„Las Wolski" zamieszkują liczne, przez lat 13 bezwzględnie szanowane sarny, mnogie zające, których na polowaniach zimowych pada 120 do 140 sztuk bez szkody dla ich dalszej rozmnoży, dalej zaprowadzone przed kilku laty bażanty, a wreszcie kuropatwy przenoszące się raz do zagajników, drugi raz na sąsiednie pola. Urządzenie Parku jest przepiękne, są w nim drogi dojazdowe dostępne luksusowym samochodom i ścieżki podchodowe, przeprowadzone przez mostki rzucone malowniczo ponad potoki i parje, a w ostatnich latach wzniesiono też w odpowiednich miejscach kilka trybun, z których i dziś jeszcze raczej obserwuje się tylko rogaczy, niż się je z nich strzela, choć obecny ich stan już na odstrzał pozwala.

Wprowadzono też wzorową ochronę ptactwa pożytecznego i śpiewającego, dla którego założono liczne sztuczne gniazda i dziupła, podkarmiając zimą i ten drobiazg ptasi w osobnych karmnikach.

Dla skuteczniejszej ochrony rewiru głównego zadzierżawiono znacznym kosztem, polowania w sąsiednich gminach: w Przegorzałach, Bielanach i w Chełmie, a częściowo też na gruntach gminnych Woli Justowskiej, tak, że stworzono poważny okręg łowiecki na obszarze 1000 ha, przyczem podnieść należy, że w zamierzeniach wspierają Pana inż. Wobra Panowie Dyrektor Przybylski i Konsul Lewalski, znani miłośnicy racjonalnego polowania, którzy, wykonując polowanie w sąsiednim lesie Konwentu OO. Kamedułów na Bielanach, działają w ścisłem i najlepszem porozumieniu myśliwskiem z Panem Wobrem.

Ochronę polowania wykonują pilnie liczni zaprzysięgli strażnicy, którzy tępią energicznie kłusownictwo i wnykarstwo, zadają zimą karmę zwierzynie, zastawiają potrzaski na ptactwo drapieżne i wykonują jego i czworonogich szkodników odstrzał.

W tym to przepięknym lesie założono też bażantarnię. Bażantarnia ta położona w zacisznym zakątku, wśród sztucznych zagajników i starszego drzewostanu, w kotlinie wypełnionej trzema nieregularnie urządzonemi stawkami dla hodowli karpia rodzimego, jest prawdziwą ostoją myśli hodowcy-myśliwego dbałego o byt zwierzostanu, a jednocześnie niepowszednią rozrywką krakowskiej publiczności, śpieszącej gromadnie wytchnąć po trudach całodziennej pracy na łonie przyrody.

Bażantarnia jest już dziś pokaźną w rozmiarach, a imponuje wzorowym porządkiem i mieści różne gatunki bażantów: jak Phasianus colchicus — bażant pospolity — Phasianus mongolicus — bażant mongolski — Phasianus torquatus — bażant mandżurski i inne, jedne dla celów hodowlanych łowieckich, drugie dla ozdoby i na pokaz zwiedzającym Park i bażantarnię.

Bo niema nic piękniejszego dla oka ludzkiego po kwiatach i krzewach jak ten ptak ślicznie upierzony, zwłaszcza wtedy, gdy promienie słoneczne cudnie na nim igrają, jakby pieściły się w stubarwnej gamie różnokolorowych piór ozdobnego bażanta.

Bażantarnia rozwija się doskonale i rok rocznie rezultaty sztucznej hodowli są pomyślniejsze. W r. b. przybyło około 200 sztuk młodych bażantów, prócz wywodzących się na dziko, tak, że ogółem znajdujemy w samej bażantarni około 300 sztuk stałych osobników.

Że myśl założenia tej bażantarni na skalę i modłę, na jakie sobie dziś mogą pozwolić chyba posiadacze rozległych dóbr, była trafną i godną drugiej stolicy Państwa, dowodem tego jest zainteresowanie jakie ona budzi w sferach myśliwskich i dary jakie odczasu do czasu otrzymuje od znanych w kraju myśliwych i od zarządów o łowiectwo dbałych. W r. b. otrzymała bażantarnia znaczniejszą ilość kur bażancich od Zdzisława hr. Tarnowskiego, a od Nadleśnictwa Miłosław w Poznańskiem, koguta bażanta, ozdobnego „Lady Amherst Golden", poważnej wartości.

Jednem słowem „Las Wolski" ze swą bażantarnią to istne klejnoty dzisiejszej racjonalnej hodowli zwierzyny w Państwie, a jeżeli wielką jest zasługa ś. p. Juljusza Lea i innych, którzy myśl założenia Parku ludowego ongi powzięli, a także późniejszych włodarzy miasta Krakowa, którzy na utrzymanie i ciągłe upiększanie Parku funduszów nie skąpili i nie skąpią, to niemniejszą zasługę przypisać trzeba Gospodarzowi tych objektów, Panu inż. Wincentemu Wobrowi, emerytowanemu nadradcy leśnictwa, który objąwszy w r. 1917 z ramienia miasta Krakowa zarząd Lasu Wolskiego, wyczarował swem umiłowaniem przyrody, niestrudzoną energją i znakomitą fachowością te prześliczne cacka myśliwskie.

---

†

Śp. Zofja z Trzecieskich Dąmbska

W niedzielę dnia 11. maja 1930 roku, umarła w Rudnej w powiecie Rzeszowskim po długich a ciężkich cierpieniach w 88 roku życia ś. p. Zofja z Trzecieskich Dąmbska.

Całe Jej życie, to jeden nieprzerwany łańcuch wiernej i pięknej służby dla Boga, Polski, Społeczeństwa i Rodziny. — Nie tu miejsce na opisywanie tego życia, nie tu miejsce na opisywanie Jej zasług. — Zrobił to krakowski „Czas" umieszczając w numerze 142 tego pisma z 25. czerwca 1930 piękne o ś. p. Zmarłej wspomnienie. A jednak i w „Łowcu" naszym nie można tego zgonu pominąć milczeniem i nam łowieckiej braci z pod znaku św. Huberta godzi się ze czcią ukląknąć u tej mogiły, bo ze śmiercią ś. p. Zofji Dąmbskiej zeszła ze świata rycerska postać prawdziwej matrony polskiej, która całą duszą ukochała ziemię rodzinną, nasze pola i lasy nasze, która w zadziwiający wprost sposób rozumiała i odczuwała piękno prawdziwego łowiectwa.

Będąc żoną znakomitego myśliwego ś. p. Józefa Godziemby z Lubrańca Dąmbskiego, goszcząc swego czasu na polowaniach w Rudnej takich łowców jak ś. p. Kazimierz Wodzicki z Olejowa, wyrobiła w sobie ogromne ukochanie przyrody a łowiectwo pojmowała bardzo wysoko.

Dla wszystkich tych, którym danem było spotkać się że ś. p. Zmarłą, jako panią domu podczas przepięknych polowań w Rudnej, pozostanie Ona na zawsze jasnem, świetlanem wspomnieniem. Wszystkim nam było na tych polowaniach dobrze, czuliśmy się jak u siebie, szanowali i kochali tę Dostojną Panią, która swym osobistym urokiem i staropolską gościnnością zdobyła sobie na zawsze nasze serca.

Niech Bóg da Jej pokój wieczny, niech potężne drzewa Rudzieńskiego ogrodu, które własną ręką sadziła i piękne lasy Rudzieńskie szumią Jej swym poszumem ostatnią pożegnalną pieśń.

Dziesięciolecie Pomorskiego Klubu myśliwskiego w Grudziądzu

„Pomorski Klub Myśliwski" w Grudziądzu obchodził w dniu 5 X. 1930, dziesięciolecie swego istnienia.

Uroczystość rozpoczęto mszą świętą dla Członków Klubu, odprawioną w kościele farnym, następnie zaś w godz. od 11 do 17, odbyły się na strzelnicy przy szosie Chełmińskiej zawody strzeleckie członków oraz zaproszonych gości.

Przemówienie na otwarciu zawodów wygłosił Wiceprezes p. Jan Stenzel z Nowej Wsi, witając przybyłych gości i wskazując na dziesięcioletnią dodatnią działalność Klubu około podniesienia kultury łowieckiej, oraz sportu strzeleckiego na Pomorzu.

Następnie przemówił sekretarz Klubu mjr. Mańkowski z Torunia, który wspomniał o zasługach założycieli Klubu, a mianowicie pp.: Starosty Ossowskiego z Chełmna, Pułkownika Kruszelnickiego z Grudziądza, Pułkownika Pilarza i Magistra Stenzla oraz zwrócił uwagę obecnych na wysoki poziom wyników dotychczasowych zawodów strzeleckich Klubu, które w latach 1928—1930 odbyły się już pięciokrotnie oraz wyraził podziękowanie Zakładom Amunicyjnym „Pocisk", za stałe przyczynianie się do zorganizowania zawodów przez udzielanie nagród.

Na zakończenie uroczystości odbył się wieczór towarzyski z tańcami, na którym Członkowie Klubu z Prezesem Dyrektorem Krupskim i Wiceprezesem Stenzlem oraz Prezesem honorowym Kruszelnickim na czele podejmowali zaproszonych gości w salach Kasyna Obywatelskiego.

W uroczystościach klubowych wziął udział również reprezentant Z. A. „Pocisk" Dyr. Baranowski z Warszawy.

W czasie zawodów używano wyłącznie myśliwskiej amunicji śrutowej fabrykacji krajowej „Pocisk" i „Zagożdżon", stwierdzając nie poraz pierwszy jej doskonałą jakość.

Również amunicja małokalibrowa „Pocisk" i rzutki „Czapla", fabrykowane przez Grudziądzką firmę St. Czapczyk, okazały się jak zwykle bez zarzutu.

Wyniki zawodów strzeleckich były następujące:

I. „Strzelanie Wielkie do rzutków (5 seryj po 10 rzutków każda): 1. P. Łyskowski Konstanty, 48 trafień, nagroda Klubu; 2. P. Mjr. Chojecki Edmund 44 tr., żeton złoty; 3. P. Hennig Dettlef, 44 tr., żeton srebrny; 4. P. Bieler Eybert, 43 tr., żeton bronzowy; 5. P. Dyr. Baranowski, 42 tr., żeton bronzowy „Pocisku".

II. Strzelanie małe do rzutków (2 serje po 10 rzutków): 1. P. Hennig Detlef, 20 trafień, żeton złoty i 100 naboi myśliwskich; 2. Dyr. Baranowski, 19 traf., żeton srebrny; 3. Mjr. Chojecki Edmund, 19 tr., żeton bronzowy; 4. P. Bieler Egbert, 17 tr., żeton bronzowy „Pocisku"; 5. Por. Starnawski Stefan, 17 traf., żeton bronzowy „Pocisku".

III. Strzelanie klubowe do rzutków (2 serje po 10 rzutków — tylko dla członków Klubu): — 1. Mjr. Chojecki Edmund, 17 trafień, nagroda Pułkownika A. Kruszelnickiego; 2. Mjr. Marszewski Zygmunt, 17 trafień, żeton złoty i 50 naboi; 3. P. Łyskowski Konstanty, 16 trafień, żeton srebrny; 4. Por. Starnawski Stefan, 15 trafień, żeton bronzowy; 5. Dyr. Kędzierski Jan, 15 trafień, żeton bronzowy „Pocisku"; 6. Por. Kieszkowski Janusz, 12 trafień, żeton bronzowy „Pocisku".

IV. Strzelanie pocieszenia do rzutków (2 serje po 10 rzutków): 1. P. Czapczyk Stanisław, 12 trafień, nagroda Oficerskiego Klubu Myśl. w Toruniu i żeton złoty; 2. Por. Kieszkowski Janusz, 11 trafień, żeton srebrny i 50 naboi; 3.Płk. Kieszkowski Gustaw, 8 trafień, żeton bronzowy; 4. Rtm. Antoniewicz Michał, 7 trafień, żeton bronzowy „Pocisku".

V. Strzelanie małokalibrowe na 50 m. (najwyższa możliwa ilość punktów: 200): 1. Kpt. Kruczek Juljusz, 169 p., nagroda Klubu; 2. St. żand. Tokarczyk, 164 p., żeton złoty; 3. Płk. Podhorski Zygmunt, 154 p., żeton srebrny; 4. Chor. Cichaczewski, 136 p., żeton bronzowy; 5. Kpt. Ostapowicz, 125 p., żeton bronzowy „Pocisku".

VI. Strzelanie do jelenia i dzika (na 100 m — kulą w biegu): 1. P. Łyskowski Konstanty, 13 p., nagroda firmy Czapczyk; 2. Płk. Podhorski Zygmunt, 12 p., żeton złoty; 3. Mr. Stenzel Jan, 10 p., żeton srebrny; 4. P. Czapczyk Stanisław, 7 p., żeton bronzowy.

VII. Strzelanie do rzutków poza konkursem (do dubletów): 1. P. Hennig, 16 trafień, w tem 6 dubletów; 2. Por. Starnawski, 15 trafień (5 dubletów); 3. Dyr. Baranowski, 11 trafień (4 dublety).

Na ołtarz św. Huberta w dalszym ciągu złożyli: Władysław Żurowski zł. 10,—.

TREŚĆ NUMERU 21:

Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek — Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 85 - 16